

II/842

- 1 -

Zbigniew Paszkiewicz
ul. ks. Prym. Hyszczyńskiego 5/2
37-450 Stalona Hola

© ARCHIWUM WSCHODNIE

W I G I L I A W A T B A S A R Z E - 1941r.

Z zainteresowaniem przeczytałem wspomnienia Bożego Narodzenia 1941 r zesłańców polskich w Kazachstanie, w Atbasarze.

Jakże odmiennie Święta te w 1941 r, w tym samym Atbasarze "świętowała" nasza rodzina. Łzy cisną się do oczu, choć to tyle lat minęło. Piszę tylko dlatego, że na poprzedniej szpalcie tego samego numeru "Zorzy" p. Elżbieta Binder wzywa do spisywania relacji dla dobra przyszłej syntezy losów Polaków na Wschodzie. Właśnie dlatego, by obraz świąt Polaków w tamtych stronach, nawet w tej samej miejscowości był pełny - *piszę*.

"Święta" tamtego roku wyjątkowo utkwiły mi w pamięci, gdyż mieszkaliśmy w tej miejscowości w wagonie towarowym, Zima tego roku, jak wszystkie zresztą zimy w tamtych stronach, była wyjątkowo surowa. Prozy utrzymywały się w granicach - 40°C.

My w wagonie z dala od ludzi, na dalekiej boczniczy stacji kolejowej w Atbasarze czekaliśmy na odmianę losu. Żeby opisać nasze święta tamtego roku muszę cofnąć się w opis o dwa miesiące wstecz.

Dlaczego?

Aby wyjaśnić, jak znaleźliśmy się w Atbasarze.

Od sierpnia 1941 r. mieszkaliśmy w małej miejscowości Dżaksy, tej samej Akmolińskiej obłasti. (województwo). Polacy, a właściwie Polki, bo one stanowiły tam zdecydowaną większość wśród zesłańców, pracowały tu przy wykonywaniu tzw. śniegozaszczytów. Chodziło o zabezpieczenie torów linii kolejowej Akmolińsk - Kartały przed zawiewaniem śniegiem, w czasie zimowych huraganów. Były to burze śnieżne nazywane przez miejscową ludność *b u r i a n a m i*.

Miejscowość Dżaksy położona były w całkowitym stepie, podobnie jak wszystkie, które pamiętam miejscowości tej okolicy. Linia kolejowa przebiegała więc w stepie.

W czasie pobytu w tamtych stronach w ciągu pięciu lat, zapomniałem, jak wyglądają rosnące drzewa.

Żeby kolej funkcjonowała w czasie tych śnieżnych burz musiała być stale zabezpieczana. Przywożono więc na platformach kolejowych potężne bale, conajmniej dwukrotnie dłuższe od naszych słupów telefonicznych. Polki zrzucały te bale z platform przy pomocy łomów - wzdłuż toru.

Słupy te, do których po częściowym wkopaniu w ziemię przybijano potężne deski, tworzyły płoty zabezpieczające tory przed zasypywaniem w czasie burz zimowych.

Zadaniem kobiet Polek było między innymi kopanie dołów głębokich na około 2 m., w które wkopywano te słupy.

Póki było lato kopanie dołów jakoś szło kobietom i wykonanie normy dziennej było możliwe, za cenę olbrzymiego wysiłku i potu. Do dziś czuję zapach potu tych biednych kobiet, gdyż po pracy nie miały możliwości umycia się. O wodę, jak to w stepie, było trudno. Przynosiły ją z daleka w wiadrach. Barak długi, gdzie mieszkało 50 - 60 osób, nie dawał warunków do umycia się nawet w miednicy. Większość rodzin nie miała zresztą miednic, więc je pożyczano sobie.

Kiedy nagle w październiku przyszła surowa, syberyjska zima, ziemia zamieniła się w litą skałę. Doły pod słupy można było kopać tylko przy pomocy kilofa.

Proszę wyobrazić sobie moją matkę, kobietę o wzroście 1,5m, która musiała kopać doły o głębokości 2 m. Ileż razy przechodziły te kobiety z rozbitym czołem, gdyż zmęczone padały na ścianę dołu pod ciężarem kilofa.

Po zakończeniu pracy musiały kilometrami iść na piechotę w mrozie do baraków. Nie było bowiem żadnego transportu dla pracowników. Kilofy i łopaty musiały nieść z sobą, bo kwitowały odbiór tych narzędzi.

Polki po powrocie z pracy wręcz padały ze zmęczenia. Tylko konieczność utrzymania przy życiu dzieci zmuszała je do ciągłego wysiłku i trwania. Większość z nich była tam z dziećmi w wieku od 3 - 16-u lat.

Dzieci od 14-go roku życia najczęściej już pracowały, jak np. mój brat.

Pracujący otrzymywali bowiem kartki, na które można było kupić o 300 g więcej chleba i podwójną porcję zupy. Otrzymanie kartek uzależnione było od stałego wykonywania dziennej normy pracy. (tzw. trudodzień)

Wiele kobiet, szczególnie tych wyczerpanych, słabszych fizycznie nie było w stanie wykonać normy dziennej pracy. Prorab (kierownik odcinka robót) bez przerwy poganiał i straszył. Stale podkreślał, że dla tych kobiet tu jest front wojenny. Tu, w Dżaksach. Gdy był w lepszym humorze, to mówił: " ot, Poliaczki, wy normy nie wykonujecie, a mnie zak karę na front poślą." Po odejściu "proraba" Polki głośno mówiły: "Żeby go wreszcie na ten front wzięli i żeby go pierwsza kula nie minęła,"

W końcu władze miejscowe doszły widocznie do wniosku, że trzeba pozbyć się tych słabszych kobiet, które zbyt często nie wykonują normy i w dodatku ze swymi dziećmi zajmują miejsca w baraku. W początku grudnia, w czasie surowej zimy sybirskiej pięć kobiet z dziećmi w wagonie towarowym odeszali do Atbasaru.

Wśród tych kobiet znalazły się: pani Szczepańska, żona oficera z Baranowicz z dwoma córkami (ok.11 i 13 lat), pani Grochulska, żona podoficera z dwoma chłopcami (ok.7 i 5 lat), pani Leszkiewiczowa, żona podoficera KOP^U z Wileńszczyzny, z 4-o letnią córeczką, p.Michalska, żona podoficera KOP-u z Wileńszczyzny - też z 4-o letnią córeczką.

Stefania Paszkiewiczowa z Wileńszczyzny z trzema synami (14, 10 i 7 lat).(Zastrzeżenie : nazwiska tylko do wiadomości archiwum. Nazwisk proszę nie publikować w prasie, najwyżej inicjały).

Po kilku dniach postoju w wagonie w Dżaksach i podróży, już w Atbasarze okazało się, że nikt nic nie wie o transporcie 5-u kobiet z dziećmi. Tu również nie było dla nas miejsca w barakach. W ten sposób do życia w piekle sowieckim doszło piekło egzystencji w wagonie towarowym w czasie surowej zimy.

Żaden z naczelników miejscowych władz nie chciał podjąć decyzji, co zrobić z tym transportem kobiet i dzieci.

"Wy nam nie nużny" - wy nam nie-potrzebne, to była jedyna odpowiedź naczelników różnego szczebla i różnych organów miejscowej władzy, Nie obchodził ich los tych kobiet, tak, jakby one same dobrowolnie przyjechały na Sybir.

Charakterystyczny szczegół: kiedy kobiety te doprowadzone do granic wytrzymałości mówiły, że przyprowadzą dzieci i nie opuszczą biura naczelnika dopóki sprawa nie zostanie załatwiona, naczelnik brał słuchawkę telefonu, wykręcał numer i długo krzyczał do słuchawki. Po "rozmowie" takiej kazał zgłosić się za trzy dni, ale nie do siebie, tylko do jakiegoś innego naczelnika. Ten zaś, po zgłoszeniu się naszych kobiet śmiał się i mówił: "Nikt do mnie w tej sprawie nie dzwonił, nic nie wiem i nic wam nie załatwię". Telefon więc tamtego naczelnika był zwykłą mistyfikacją. Dodawał zresztą: "mnie potrzebni robotnicy, a nie kobiety. A miejsc w barakach też nie mam"

Muszę dodać, że wtedy w Kazachstanie, jak i chyba w całym Związku Radzieckim, warunkiem otrzymania kartek na chleb i zupę w stołówce było zatrudnienie. Za chleb i zupę oczywiście trzeba było płacić. Warunkiem zatrudnienia było tam zameldowanie. W barakach miejsc nie było, a osób przebywających w wagonach w świetle sowieckich przepisów nie wolno meldować. I koło zamykało się.

Żywność można więc było kupić tylko na bazarze i to nie za ruble. Chyba, że po paskarskich cenach. Pieniądze nie miały tam żadnej wartości. Polki z wagonu niśły więc resztki jakichś ubrań przywiezionych z Polski i wymieniały to na żywność.

Gehenna życia w towarowym wagonie na dalekiej bocznicy w Atbasarze przedłużała się. Zima tam jest bez odwilży. Mroz utrzymywał się w granicach -40°C . O ogrzaniu wagonu nie było mowy. Na drewnianych pryczach nie było nawet słomy. Może to i dobrze, bo wówczas wszy miałyby doskonałe siedlisko.

Ileż razy kobiety mocowały się rano z otwarciami, a właściwie z odsunięciem potężnych drzwi wagonu towarowego. Rolki tych drzwi przymarzały do metalu i nie można ich było odsunąć, żeby wyjść z wagonu. A wyjść trzeba było, choćby po to, by przynieść wodę do gotowania i ukraść węgiel i drewno na podpałkę do piecyka. Te ostatnią czynność wykonywano wieczorem, kiedy już było ciemno.

Dopiero ukradziony łom żelazny częściowo rozwiązał sprawę. Kobiety na zmianę łomem waliły w drzwi aż rolki drgnęły. Wówczas wpychały łom między drzwi, a ścianę wagonu i z trudem odsuwały te drzwi. Staraly się odsunąć jak najmniej, by wiatr ze śniegiem nie wiał do wagonu. Nie można było jednak przystawić wózków metalowych. Przy wychodzeniu z wagonu trzeba było skakać. Przy wchodzeniu kobiety z wagonu wciągały wchodzącą.

W wagonie był piecyk okrągły, metalowy, na którym z trudem można było ustawić dwa garnki, aby coś ugotować.

I w takiej sytuacji przyszedł Święta Bożego Narodzenia 1941 r w Atbasarze.

Kobiety kupiły przemarznąętą na kość kapustę i gotowały na piecyku. W ~~po~~świacie palącego się piecyka widać było oszronione lodem łby śrub tkwiących w deskach wagonu. Świeciły niczym gwiazdy na firmamencie niebieskim w ciemnym wagonie. Te prawdziwe gwiazdy były niewidoczne. Okno zamarznąęte, drzwi zamknięte.

Kiedy kapusta ugotowała się, okutani we wszelkie ubrania i płaszcze zbliżyliśmy się do piecyka. Brat zapalił dwa kuczywa wycięte z desek pryczy. Kobiety składały sobie życzenia. Nie pamiętam, żeby którakolwiek życzyła powrotu do Polski. To było zbyt dalekie i nierealne w tym bezkresnym, stepowym kraju - Kazachstanie.

Wśród życzeń i marzeń tych zesłańców było otrzymanie miejsca w baraku i powrót mężów i ojców z więzień i łagrów. Był to czas, kiedy coraz częściej wracali więźniowie polscy.

Rolę opłatka w czasie tej Wigilii spełniał kawałeczek chleba, łamany na drobiny.

Brat położył na skraju pryczy małą wiązkę słomy, którą gdzieś znalazł na bazarze, Wiązka tej słomy miała spełniać rolę siana pod obrusem na polskich stołach. Tak zapamiętał wigilijną tradycję ze swego rodzinnego domu na Wileńszczyźnie.

Po zjedzeniu kapusty, kobiety matki położyły się z dziećmi na pryczach. Opatuliły swe dzieci, czym miały, przytuliły je do siebie, by w czasie snu w nocy nie zamarzły.

Tak minął nam wigilijny wieczór 1941 r w Atbasarze.

O czym mogły myśleć te usypiające kobiety, wywiezione w bezkresne stepy Kazachstanu wraz z dziećmi, za to tylko, że były Polkami, a ojcowie tych dzieci bronili Polski przed agresorami we wrześniu 1939 r.

O jednym myślały na pewno. Jak utrzymać przy życiu te przytuliłone dzieci. Czy utrzymały je przy życiu? Czy dowiozły do Polski? Nie znam losu pozostałych rodzin. Dalsze przemieszczenia zesłańców rozdzieliły nas bowiem bezpowrotnie.

Włodzisław Tomaszewicz

S P R A W A P A C Z E K

(Problem paczek, o których wspomina pani Jodko)

© ARCHIWUM WSKHOJNIE

O nazwie UNRR-a nie słyszałem tam, mówiło się o paczkach przysyłanych przez rząd polski. Z tego, co pamiętam rozdzielnictwo artykułów z tych paczek polegało na tym, że całą pulę żywności dzielono przez ilość osób podopiecznych w danej miejscowości. Następnie przychodziła z danego baraku delegatka w dwoma osobami i zabierały artykuły przydzielone dla osób podopiecznych w baraku.

Ponieważ my nie mieszkaliśmy w barakach nie byliśmy więc ujęci na listach. W ten sposób w Atbasarze nigdy nic nie dostaliśmy z paczek. Jako argument służyło stwierdzenie: "słuchajcie, my dostaliśmy tyle artykułów, ile mamy osób zgłoszonych do delegatury w Akmolińsku wg. list rodzin. Wy nie jesteście tu zgłoszone. Was nie ma na listach."

Zresztą paczki te przychodziły bardzo sporadycznie i tylko do czerwca 1942 r, to jest do czasu, kiedy wojsko polskie zaczęło opuszczać Związek Radziecki.

Do mniejszych skupisk Polaków, jak np. w Dżaksach ta żywność z paczek nie docierała wogóle.

W Jesilu, gdzie znaleźliśmy się pod koniec lutego 1942 r, artykuły z paczek dzielono przez ilość osób podopiecznych w danej miejscowości i natychmiast rozdawano do baraków w zależności od ilości osób mieszkających w baraku.

Później, gdzieś od maja tego roku, zmieniono formę rozdzielnictwa w tej miejscowości ze względu na zbyt małą ilość przysyłanej mąki, kaszy i smalcu. Wogóle, zresztą, nigdy tych artykułów nie było zbyt wiele. Były to symboliczne ilości.

Były też problemy, jak traktować przy rozdziale żywności dzieci. Były przecież dzieci 3 -letnie, 10-o letnie i 14-o letnie. Te ostatnie często już pracowały i to ciężko np przy wymianie podkładów kolejowych, jak mój brat.

Ponieważ przysyłanej żywności było coraz mniej, w Jesilu, gdzie mieszkaliśmy wówczas podjęto wspólną uchwałę delegatów z poszczególnych baraków, że będzie się gotować zupę z otrzymanych kasz, mąki i smalcu dla mieszkańców wszystkich baraków. Zupa była rozdzielana przy pomocy chochli dla rodzin według ilości osób w rodzinie. Rodziny, które dały do wspólnego użytkowania kotły, lub większe garnki, jak np, moja mamusia otrzymywały zupy po jednej chochli więcej na osobę. Trwało to jednak krótko, bo gdzieś do początku lipca 1942 r.

Wówczas Wojsko Polskie zaczęło bowiem opuszczać Związek Radziecki udając się do Iranu. Dla zesłańców Polskich w Związku Radzieckim nadchodziły jeszcze cięższe miesiące i lata 1943, 1944 i 1945 roku.

Głód, tyfus i nędza dziesiątkowały całe rodziny.

Do biedy i beznadziejnej vegetacji polskich rodzin w Kazachstanie doszła jeszcze akcja wręczania radzieckich paszportów Polakom na wiosnę 1943 r. Ileż łez wycisnęła z oczu tych biednych Polek ta perfidna akcja rządu radzieckiego. Ileż to nieprzespanych nocy przyszło przeżyć wówczas tym zatroskanym o los swych dzieci kobietom polskim. Działo się to przecież po zerwaniu stosunków dyplomatycznych Związku Radzieckiego z Polską.

Wiele kobiet przypłaciło tę decyzję władz radzieckich tragedią więzienia i rozdzielenia z dziećmi. Lecz to już odrębny temat.

Mieczysław Tomaszewski